



# Do naszych przyjaciół

Po skończonych wakacjach znowu pracują w pocie czoła wszystkie Krasnoludki, wszyscy przyjaciele naszej gazetki. Wśród listów otrzymywanych wiosną było sporo, w których przyznawaliście się do brzydkich przykrych dwójek na cenzurze. Czy wiecie, jak to się stało, jak one wlażyły wśród inne stopnie? Oto, dzieci, dlatego, że od samego początku, od jesieni nie zabraliście się do pracy. Kto odrazu bierze się do nauki, wszystkie lekcje codziennie odrabia, ten napewno żadnej dwójki nie otrzyma. Macie znowu jesień, rozpoczynacie nowy rok szkolny. Z całego serca życzymy wszystkim Krasnoludkom, by od pierwszego dnia zabrali się ochoczo, z zapalem do pracy i by ten zapal nie przygasł ani na chwilę. Wiosną będziemy cieszyli się razem z Wami, gdy jak najlepsze stopnie przyniesiecie. Więc rażno do roboty!

Musimy Wam opowiedzieć, jakie zmiany zaszły w naszym gronie. Oto Krasnal, który pisał Wam ładne opowiadanka i układał wierszyki, wymyślał rebusy i zagadki, zdecydował, że czas mu wyruszyć gdzieś w dalszą podróż. Widzicie, Krasnale lubią bardzo świat zwiedzać, długo nie mogą miejsca zagrzać. Może to i dobrze, bo jak Redaktor „Krasnoludków” pojeździ się po świecie, nawet zobaczy gdzie jest wojna, a może do czarnych murzynków zawędruje, to po powrocie opiszcie Wam tak ładnie swoje przygody, że cieszyć się będziecie. W te podróże Krasnal zabiera jeszcze innego Krasnala, więc by rażniej im było powędrują w

świat we dwójkę. Już teraz szykują sobie buty, czapki, laski i studiują mapę. Bo bez mapy w terażniejsze czasy ruszyć nie można. Może Wy poradzicie Krasnalom dokąd lepiej mają jechać? Gdzie kraj jest ciekawszy? Który z Was najlepiej zna i lubi geografie, to niech przysła Krasnalom - podróżnikom list i opisze te kraje. Czy pamiętacie jak powędrował w świat Krasnal Długonogi? Jeszcze i teraz chodzi po świecie i zapisuje wszystko co widział do ogromnej księgi. Nasi Krasnale zabierają ze sobą ogromną butelkę atramentu, kilka ksiąg, kije podróżne i nawet aparat fotograficzny. Przyslijcie im swoje życzenia na tę daleką podróż, by jak najprędzej wracali i jak najciekawiej swoje przygody opisali. Do nas tymczasem wraca z dalekich krajów pani Zima. Już jesień ze strachu drży i zrzuca barwne listki na ziemię, chmurami się przykrywa, wiatrami się broni od tej „Białej Czarodziejki”. Chciałem Wam poradzić byście teraz listki od drzew, krzaczków zbierali, zasuszyli, a potem ładnie poukładali. Zobaczycie jak różnie każde drzewko, każda roślinka swoje listki wycina, jak inaczej się stroi. Potem, jak będziecie mieli zebrane, to na białym papierze ładnie poprzyklejajcie i zanieście pani nauczycielce. Zobaczycie że Was pochwali. A może, który z Krasnoludków miał jakie przygody, gdy grzyby w lesie zbierał? Napiszcie nam o wszystkim. Pamiętajcie o nas, piszcie do nas. Calują Was małe Krasnoludki. —



# Świerszczyk śpiewa

Siedzi świerszczyk za kominem  
taką piosnkę nuci:  
— Gospodarzu, gospodarzu,  
czas już żyto młócić!

Niema mąki na zacirki,  
ani na ten chlebuś.  
Raniusieńko wstań do młocki,  
parobeczka przebudź!..  
Śpiewa świerszczyk za kominem  
pełna śpiewu chata:  
— Gospodarzu, gospodarzu  
trzeba dach załatać!

Do obórki deszcz przecieka,  
wietrzyk po niej buła.  
Idzie zima, przyjdą mrozy,  
zmarznie ci Krasulal..

Siedzi świerszczyk za kominem  
zawzięcie dziś śpiewa:  
— Gospodarzu, gospodarzu,  
kup fureczkę drzewal

Gdy nadejdą mocne mrozy,  
siądziesz przy kominie.  
Ja ci piosnki będę śpiewał  
wieczór szybko miniel.

## Październik

Październik - pościernik,  
bo po ścierni  
plug rżnąc skibę,  
rolę czerni.

Nad tą łąszką, w polu, hen, wyrósł  
sobie cienki len. Wyrósł sobie w słonku  
złotem. Na niebiesko zakwitł potem. Ci-  
chuteńko rósł, przekwitał. Nic nie wie-  
dział. Nic nie pytał: jak na polu czas  
upływa, czy już lato, czy już żniwa.

Ani potem się nie chwalił, kiedy z zie-  
mi go wyrwali, kiedy główki mu grzebie-  
niem wyczesali na nasienie. A gdy wy-  
sechł w słonku złotem, wykąpali w rzece  
potem.

Kiedy znowu wysechł z wody, przy-  
szedł wreszcie czas nagrody. Bo choć len  
był chudy, zwiędły, kiedy go zaczęli mię-  
dlić, pełen znów ochoty świeżej sypał  
wkóło kłęb październicy. A od tych pa-  
ździerzy białych dostał nazwę miesiąc  
cały.

W październiku, w czas jesieni, choć  
już len się nie zieleni, ma on święto cały  
miesiąc, gdy go miedlą, gdy go czeszą.



# Na wielbłądzie przez Sacharę

W przeddzień wymarszu karawany, która chciałem przejść z Tozeur (pld. Tunis) do Tugurtu, leżącego już na terytorjum Algeru, zarządziłem przegląd całości ekwipunku.

Dla odbycia tej dwutygodniowej podróży przez Saharę, wynajęłem 6 wielbłądów, 4 ludzi oraz dwa namioty. Załogę stanowili: przewodnik El Haszmi Amor Achmed, dwóch jego pomocników-beduinów, oraz murzyn Ali Kadi, który miał pełnić obowiązki mego ordynansa i popychadła do wszystkiego.

Ponieważ szósty wielbłąd prawie nie miał ładunku, zgodziłem się na zabranie piętnastoletniej beduiniki Ellama, która chciała powrócić do Algerji, do krewnych. Najsympatyczniejsi ze wszystkich wydali mi się odrazu Ali Kadi i Ellama, która miała na postojach masowić mi niedawno złamaną reke. Przewodnik El Haszmi nie wzbudzał zaufania, gdyż łąał jak prawdziwy Arab. Po dokładnem omówieniu, gdzie uamy poić wielbłądy, a gdzie zaopatrywać się w wodę, wyznaczylem na następny dzień zrana odmarsz.

Rano, na miejscu zbiórki zastałem jedynie płaczącą Ellama, zaś w godzinę później zjawił się Ali Kadi mocno niewyspany. Reszta załogi stawiała się z opóźnieniem. Po przytroczeniu moich rzeczy na wielbłądy oraz zajęcia miejsc w siodłach, nakazałem odmarszy. Przewrotny El Haszmi zapytał czy mam duży zapas papierosów.

Z oazy nie mogliśmy się wydostać na pustynię, gdyż co parę minut trzeba było zatrzymywać karawanę celem porawienia przytroczonego ekwipunku i łapania małego wielbłądka - córeczki, która wciąż zawracała do oazy. Po godzinie marszu byliśmy już na właściwej Saharze.

Przodownikiem karawany był El Haszmi, za nim ja jechałem obok Ali Kadi, na końcu dwaj młodzi beduinowie z Ellamą. Przez pierwszą część dnia jechałem wolno, w milczeniu i każdy palił własne papierosy. Tylko mała „córeczka wielbłądzia“ biegła wciąż od końca do

przodu karawany, bawiąc nas wszystkich. Nazwaliśmy ją „małą panterką“.

Po kilku godzinach buszówki na wielbłądzie miałem dość wszystkiego, t. zn. monotonnej Sahary, piasku na głowie, piasku w ustach i oczywiście piekielnie twardego siodła. Kazałem zatrzymać wielbłąda aby poprawić siedzenie. Ale mało zatrzymać wielbłąda, trzeba go namówić aby zechciał usiąść na brzuchu. Tego tym razem nie potrafiłem. Długo warczałem nad uchem wielbłąda, ale bez skutku. Dopiero El Haszmi przyszedł mi z pomocą. Przeladowaliśmy wszystkie wielbłądy. Nawet „mała panterka“ dostała lekki ładunek drzewa, z czym było jej nawet do twarzy, a raczej do bioder. Wobec straty czasu zarządziłem nocleg w najbliższej oazie, do której pozostało do 3-4 godzin marszu.

Gdy zbliżyliśmy się do oazy Nefta, zostałem otoczony przez tubylcze dzieci, które wołały „bonjour“ wyciągając przetytem rączki. Zatrzymaliśmy karawanę na rynku wśród zebranych gapiów, poczem udaliśmy się na skraj oazy celem wyszukania miejsca na obóz. Po wybraniu zacisznego kąta nad potokiem kazałem przeprowadzić wielbłądy. Wraz z Ali Kadi rozstawiłem dwa namioty, jeden dla mnie — drugi większy w pobliżu zwierząt dla reszty załogi.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

## Do ptaka

Odleciałeś, ptaszku mity, 10

Coś piosenką cieszył nas.

Cicho, smutno naokoło,

Opustoszał gaj i las.

Smutno, smutno bez twej piosuki,

Szkoda, żeś odleciał w dal,

Z tobą było tak przyjemnie.

Zal mamie ciebie, ptaszku, żal!

Nadeszła Jadwiga Szlapińska



nym, czy coś?...  
— Coś... z czemś., którądyś... — za-

wołał Julek. — Dużo się z tego dowiedziecie  
To ci marynarze!

— No, a ty umiesz obliczyć?

— Toteż ja mówię o nas wszystkich,  
że żadni z nas marynarze. Zdawało nam  
się, że tylko wsiąść na statek i już masz  
nadzwyczajne przygody. A żaden nie  
potrafi tego, co bylejakiego chłopak okre-  
towy.

— No, więc o co ci chodzi?

— O to mi chodzi, że głupio myśleli-  
my wszyscy! O to, że jak chce się być  
podróżnikiem, albo marynarzem, to trze-  
ba masę rzeczy umieć. Naprzykład czy  
taki podróżnik, to nie musi wiedzieć, ja-  
kie owoce się jada, ja jakie nie? Albo  
jak się robi ubranie ze skór takie, jak  
miał Robinson?

— To się nauczymy jeszcze! — pisał  
Staś.

— Kiedy? Jak posiwiejemy? — wrza-  
nął Julek.

— Julek, nie indycz się — powiedział  
Mietek. — Masz rację, ale teraz to nam  
niewiele pomoże. Trzeba było się uczyć  
tych rzeczy przed podróżą, jeszcze w  
domu.

— Taaak! uczyć się! Mało to ma się  
lekiej do szkoły, żeby jeszcze samemu się  
uczyć?

— Ale właśnie w szkole mógłbyć się  
dowiedzieć o wielu rzeczach.

— W szkole! Nie, ten Mrczysław jest  
kapitałny! Więc powiedz mi, czy w szkole  
uczą, jak uszyć sobie ubranie ze skóry?  
Jak zdjąć skórę z zabitej zwierzyny? Ja-  
kie owoce są jadalne, albo lecznicze? Jak  
oznaczać swoje miejsce na morzu według  
gwiazd? Jak naprzykład zrobić siekiere  
z kamienia? Albo jak się leczyc, kiedy  
się zachoruje na febrę, jak Robinson pod-  
czas deszczów? Albo jak zrobić lampę?  
albo świecę i mydło albo...

— Patrzcie! — krzyknął naraz Bre-  
loczek wskazując palcem przed siebie.

— No, co? — powiedział Wacek, przy-  
glądając się pilnie. — Kawatek kija plyn-  
nie...

— Tak, tylko, że ten kawatek kija ma  
zieleniutkie liście!

— No, to co?

— No to znaczy, że ziemia blisko.

— Widzicie go, jaki mi Kolumb. A nie  
może to taka gałąź płynąć tygodnia, albo  
dwóch?

— Wtedyby liście nie były takie zie-  
lone.

— Patrzcie, z Breloczka robi się polski  
Cherlak Szelmes = śmiał się Wacek,



— Breloczek ma rację — odezwał się  
Mietek. — A ty, Wacek, mógłbyś go nie  
pikować.

— Nie pikuję go wcale, tylko ochła-  
dzam go, jak mu się zdaje, że jest równy  
nam — harcerzom, — on — biskopt.

Mietek uśmiechnął się nieznaczenie, ale  
nie powiedział, a obrażony Breloczek  
odwrócił się od Wacka i wyjął ze swoje-  
go „magazyńcu“ lornetkę.

Po dłuższej chwili odezwał się:

— Może teraz znowu powiesz, że bish-  
kopt nie może zobaczyć ziemi przez lor-  
netkę?

— Co? co? — rzucili się ku niemu.

— A to, co mówię! — mruzczał uada-  
sany jeszcze Breloczek.

Wydzierali sobie pokolei lornetkę i  
wołali:

— Ziemia! ziemia! naturalnie!

Po jakimś czasie można było już  
dojrzeć gołym okiem niebieskawa smugę  
na horyzoncie, wyglądającą jak las zda-  
leka widziany.

Wygwizdów prawie oszalał z radości:  
skakano i śpiewano, całowano się i kry-  
czano.

— Drzewa widać! — zawołał znowu  
Breloczek. — Naprawdę drzewa.

Julek wziął od niego lornetkę i poważ-  
nie ogłaszał:

— Tak, widać drzewa. Ale to jeszcze  
głupstwo. Na jednym z drzew widzę pta-  
ka zwanego Aligator, po polsku — Intro-  
ligator. Ptasek ten czyści sobie dziobek  
o listek i kiwa na nas paluszkami lewej,  
tylnej nogi. A obok niego siedzi wąż  
Boa — Konstruktor, po polsku Konduk-  
tor, który ma od głowy do ogona piętna-  
ście łokci, a od ogona do głowy pięć, ra-  
zem dwadzieścia.

— Ale co to może być za ziemią?

— mruknął jakby do siebie Mietek.

Julek odjął lornetkę od oczu i patrzył  
na niego przez chwilę, poczem rzekł:

— Wiesz, Mrczysławie, ty zawsze tra-  
fisz w sedno... Rzeczywiście co to może  
być za ziemią?





— Albo Indje, albo Australia — powiedział Wacek.

— Albo coś pośredniego, prawda? — zakpił Julek.

Mietek podniósł głowę i powiedział:

— Niechący powiedziałeś rozumną rzecz. To coś pomiędzy Indjami a Australją...

— Jakto?.

— No, tak — jakaś wyspa z tego archipelagu... jak mu tam?... no tego, co jest między Australją a Azją.

— Może San - Domingo? — odezwał się Wacek.

— Co ty pleciesz? Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmny babińskie? Jak widzę to ty nadawałbyś się na podróżnika do bieguna północnego, bo odkryłbyś go tam, gdzie nikt tego się nie spodziewa... naprzykład na równiku — i Julek pokazując na wyspę, powiedział: — Wiesz, co to może być? Nie? Cejlon! Słyszałeś o takim zwierzaku?

— Jeżeli Cejlon — powiedział Wacek to trafimy znowu na Anglików.

— Alboż Cejlon jest angielską kolonją?

— No, a czyją?

— Holenderską, ma się rozumieć!

— A ja ci powiadam, że angielską!

— A ja ci powiadam...

Hop! Łódka stęknieła dziwnie, uderzywszy z całej siły o coś twardego i zatrzymała się w miejscu. Nim Wygwizdów zorientował się w nowej sytuacji, łódź zaczęła napępniać się wodą w nadzwyczaj szybkim tempie.

— Wkładać plecaki i pasy ratunkowe! — krzyknął Mietek. — Ziemia blisko, dopłyniemy! Breloczek, dawaj swój „magazyn“, nie udźwigniesz. Trzymać się za ręce!

— Mój Boże! żelazne porcje Joe'go przepadły! — westchnął Wacek.

Ale nie było czasu na narzekania: trzymając się za ręce cała czwórka zanurzyła się w wodę i dała się unieść przy-

— A co, ziemia? Moja ziemia!

Za chwilę chłopcy zobaczyli niewidziane nigdy drzewa, wysmukłe o nagim pniu palmy, olbrzymie korony rozrosłych drzew, wspartych na wielu pniach, jak wielkie altany, niżej gęste zarosła traw i krzewów. Brzeg był dość wysoki i rósł w oczach w miarę, jak chłopcy zbliżali się do niego.

Wreszcie nogi ich dotknęły dna i zaczęli brodzić w coraz płytszej wodzie, póki wreszcie nie stanęli, przemoczeni, i zmęczeni na suchym lądzie.

Mietek ukląkł poważnie na brzegu, przeżegnał się, a potem wstał i powiedział:

— Niech nam ta nieznana ziemia będzie przychylnem schronieniem.

— Amen! — odpowiedzieli.

Obco i dziwnie czuli się podróżnicy wśród nieznanych roślin, na nieznanej ziemi. Zdawało im się, że to jakiś sen, z którego za chwilę się obudzą, ale... nie się nie zmieniło. Zresztą trzeba było i za to dziękować Bogu, że nie zgineli w morzu jak bohaterki Joe, lecz dostali się na stały ląd. A co będzie dalej? Ha! zobaczy się... W każdym razie: „nie jest jeszcze źle, póki jesteśmy“ — jak mówił kochany kapitan Wiktorii.

Ubrania, plecaki i wszystkie zapasy rozłożono na słońcu, a chłopcy leżeli na rozgrzanej ziemi i leniwie rozmawiali.

— Pomyśleć — zaczął znowu Julek — jakie to wszystko dziwne: niedawno jeszcze byliśmy w szkole, potem obóz harcerski, koledzy, namioty... Potem łódka, okręt, burza i jesteśmy w zupełnie innej części świata!.. Poprostu nie chce mi się wierzyć! Zdaje mi się, że zaraz ktoś mnie obudzi i powie: „Wstawaj, bo się spóźnisz do szkoły!“

— Tak, tak! — powiedział Mietek. — Nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać. Ale grunt — to dać sobie radę w każdej sytuacji.

— Właśnie! — bąknął Wacek. — W tem sęk. Nie wiemy gdzie jesteśmy i nie wiemy co teraz zrobić...

— Naradzimy się jeszcze — powiedział Mietek. — A tymczasem ubierajmy, się w suche ubrania i zaśniejmy trochę. Należy nam się to zupełnie.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)



# Jesień na wsi

We wsi poczynął się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że za przymrozek orzeźwił powietrze, to i różni się poruszali i zglikliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na rękę, dojadając śniadań; którzy z pluziem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykrecałi ku lasom z grabiami na ramionach ściółkę grabić, że ino dudailo po obu stronach stawu i krzyk się wzmagał, bo drogi były zatłoczone bydłem, ciągnącym na paszę szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej, kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniatko głupie, co się nie usuwało przed źrebicą, to ciele jakie, aż i wyminał wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i kłonów, wjechał na szeroki gościńcic, obsadzony z obu stron ogromnemi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka przedzwoniła ofiarę i buczyły przyciszonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zastana opadłym liściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzynane koleiny pokryły się rdzawo złotym kobiercem, pociętym gęstymi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce zboku świeciło.

— Wio, maluska, wio! — Świsnął bątem i źrebica przez kilka stajają poszła rażniej, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo droga, choć nieznacznie, szła pod wzgórze na których czerniała lasy.

Boryna że go ta ciska mroczyła sennością, to oglądał przez kolumnadę topoli na pola, plawiące się w różowym, porankowym świetle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granuli, ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpił morzył...

Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnemi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty, odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę albo i na zakurzone osty, co zaognionemi oczami kwiatów bardzo patrzyły w słoń-

ce — a topole zagwarzyły, poszemrały ścicha gałązkami i pomilkły, kiej te kumy, co na podniesienie oczy podnieśną, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed majestatem, ukrytym w tej złotej monstrancji, zawisłej nad ziemią świętą, nad rodziną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

— Wschodzi niezgorzej — szepnął, przyjrzawszy się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego zryta.

— Kawał pola, a przyległo do mego, kieby kto z umysłu narządził. Zryto widzi mi się wczoraj posiały. — Ogarnął poządliwym spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

Poganiał często konia, bo droga szła po równem i twardsza była, tylko gęsto przerosnięta korzeniami, na których wóz podsakawał i turkotał.

— Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary — stał zbity gęstwą w majestacie wieku i siły i drzewo przy drzewie, sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siw w starości, a czasem brzozy w białych koszulach, z rozplecionymi warkoczami żółtymi, że to jesień już była. Podlejsze krzo jako leszczyna, to karłowata grabina, to osiczyna drżąca, tulily się do czerwonych, potężnych pni tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzieś niedzgie przedzierało się słońce i peltowało niby złote pająki po mchach i zielonych płociach zrudiiałych.

— Zawždy mego to — są cztery morgi — myślał i pożałował oczami las i już na oko wybierał co najlepszy. — Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić — albo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! — Trzynał ją bątem, bo na suszce, co dźwigała Bożą mękę, klóciły się srodki tak zajadłe, aż źrebica strzygła uszami i przystawała.

— Srokowe wesela — deszczu będzie wiele. — Przypiał parę bąków źrebicy i jechał klusem.

Wi. Reymont (Chłopi)



# Zróbmy sami piórnik

Tworzywo: kolorowy karton, albo stare okładki z zeszytów.

Prostokąt kartonu układamy na pół, tak, aby oba krótsze boki prostokąta zetknęły się ze sobą. Czynność tę powtarzamy raz jeszcze, poczem złożony w czworo prostokąt otwieramy, tak, aby zpowrotem przysmac na dwa boki złożony prostokąt, taki sam, jaki mieliśmy na dokonaniu naszej pierwszej czynności. Krótszy bok prostokąta zaginamy tak, aby dotykał do śladu poprzedniego (dopiero co rozprostowanego) zgięcia — jak to widac na rys. 1.

Odwracamy teraz nasz kawałek kartonu na drugą stronę i drugi bok jego zaginamy w ten sam sposób.

Dłuższe boki naszego prostokąta (który, oczywiście, nie jest w obecnej fazie prostokątem) zaginamy, zakrywając nimi z obu stron podstawy utworzonego teraz długiego trójkąta — tak, jak na rys. 2.

Brzeżki, wystające z obu stron naszej przeciwprostokątnej, starannie zaginamy, chowając je i na przeciwprostokątnej odkładamy mały trójkąt ostrokątny, którego wierzchołek zasuwamy w widoczną na na-

szym kartonie szparę, tak, jak na rys. Nr. 3.

Z drugą stroną przeciwprostokątnej robimy to samo, tylko że wierzchołek odłożonego na niej trójkąta zakładamy w szparę po drugiej stronie.

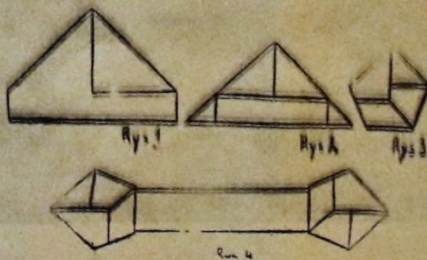
Jedna część naszego piórnika jest już gotowa.

Całą tę nieskomplikowaną czynność powtarzamy raz jeszcze, biorąc identyczny co do wymiarów prostokąt kartonu.

Kiedy te dwie części są już gotowe, przystępujemy do utworzenia trzeciej, najłatwiejszej. Prostokąt kartonu, którego długość odpowiada długości naszego piórnika, zwijamy w rurkę, której wylot powinien być tej samej szerokości, co wyloty naszych kartonowych czapeczek, zrobionych przed chwilą.

Reszta jest już dziełem jednej sekundy: oba końce naszej rurki zatykamy w otwory czapeczek i piórnik jest gotów (rys. 4). Przez ściągnięcie jednej czapeczki otwieramy go, przez nałożenie jej — zamykamy.

W piórniku mieszczą się doskonale dwa ołówki, pióro i gumka.





*Nasza stara babunia*

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze życie”, Riga — Dzirnavu 57. „Krasnoludki”  
Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnavu ielā Nr. 57.